

TEMAT
TYGODNIKA

WIECZNY NIEODPOCZYNEK

Wraz z ostatnią miesięcznicą
skończy się największe
przedstawienie polityczne współczesnej Polski.
Ale wytworzona przez nie wspólnota wyobraźni
trwać będzie długo.
Podobnie jak podziały.

DARIUSZ KOSIŃSKI



PAMIĘĆ SMOLEŃSKA TO KONGLOMERAT przekonań, emocji, wspomnień, rezydentów i wyobrażeń, które od ośmiu lat odgrywają ogromną rolę polityczną i społeczną, wyznaczając linię podziału na „dwie Polski” – już w roku 2010 rozrysowane w wierszu Jarosława Marka Rymkiewicza. I choć w ciągu tych ośmiu lat liczba nachodzących na siebie linii podziału znacznie się zwiększyła, to pamięć katastrofy smoleńskiej wraz ze wszystkimi jej towarzyszącymi i napędzającymi elementami wciąż pracuje z nieukojoną intensywnością.

Jej praca i skuteczność oddziaływania, wręcz samo jej istnienie fundowane jest przede wszystkim na miesięcznicach, które z regularnością rytuału i siłą politycznej demonstracji ożywiają i aktualizują emocje z wiosny 2010 r. Centralna część obchodów nosi niezwykle trafną nazwę: Marsz Pamięci. Każdego dziesiątego dnia miesiąca pamięć smoleńska maszeruje, ucieleśniając niewypowiedziane, ale właśnie tym silniej działające, splecione afekty: żaloby, gniewu, chęci zemsty, wspólnoty i wykluczenia. By spróbować pojąć, na czym polega siła ich przyciągania, trzeba uważnie przyjrzeć się miesięcznicom, które działają poza słowami, poprzez akcję, wspólnotę zgromadzenia, potęgowane obecnością innych emocje, a także przez prosty fakt regularnej powtarzalności. Trzeba je potraktować tak, jak na to zasługują: śmiertelnie poważnie.

Czyniłem tak już w 2010 r., czyniłem później w książce „Teatra polskie. Rok katastrofy”. Często spotykałem się potem z niechętną reakcją i argumentacją, że nadaje „temu cyrkowi” zbyt wielkie znaczenie (strona przeciwna z kolei nie mogła mi darować, że śmiem używać w kontekście Smoleńska terminologii teatralnej, która tym znawcom rodzimej kultury kojarzy się tylko z „kumedyjami”). Marną mam po ośmiu latach satysfakcję z tego, że miałem rację i że przedstawienia smoleńskie okazały się rzeczywiście jednymi z najważniejszych i najsilniej wpływających na rzeczywistość działań politycznych w najnowszej historii Polski.

Dziś dostrzegam w nich też syntezę sił i mechanizmów, które zapewniły zwycięstwo rządzącej obecnie formacji. Nie ma przecież wątpliwości, że to dzięki nim powstała, okrzepła, została wcielona i wprowadzona w życie społeczne określona postawa, która, niezależnie od indywidualnych różnic uczestników celebracji, sta-

nowi fundament politycznej wspólnoty, decydującej współcześnie o kształcie życia zbiorowego.

Oczywiście byłoby przesadą stwierdzenie, że wybory z 2015 r., rządy Prawa i Sprawiedliwości, cały proces dramatycznych zmian, jakie przechodzi Polska, są wynikiem i „zasługą” miesięcznic. Ale z drugiej strony wydaje się oczywiste, że miesięcznicowa wspólnota jest reprezentacją, swoistą metonimią tej Polski, która o wszystkich tych wydarzeniach zadecydowała. Więcej: ona tę Polskę ustanawia i jednocześnie wystawia, co sama wspólnota smoleńska jasno rozpoznaje, skandując od ośmiu lat, że „tu jest Polska”.

To klasyczny wręcz performatyw: wypowiedź niewyrażająca jakiegokolwiek wiedzy czy orzekająca o jakimś fakcie, ale ustanawiająca fragment rzeczywistości (tak jak narzeczni wypowiedzi przysięgę małżeńską ustanawiają realne małżeństwo). Performatyw skuteczny, bo niezależnie od wszelkich protestów, parodii i prób przejęcia, wspólnota miesięcznic przekuła okrzyk w rzeczywistość „suwerena”. Miesięcznice są aktami materializacji i objawienia tej mitycznej postaci, w imieniu której występuje obecna władza. I także w tym sensie są jej najważniejszym przedstawieniem.

Czas rytuału

Pierwsza, pozornie drobna rzecz, na którą trzeba zwrócić uwagę, to czas i regularność. Miesięcznice trwają już osiem lat i odbywają się co miesiąc, niezależnie od warunków pogodowych, osobistych problemów pojedynczych uczestników czy nastrojów społecznych. Jeśli mówię, że jest to przedstawienie bezprecedensowe, to mam na myśli w pierwszej kolejności ten właśnie jego aspekt: czasową ciągłość i regularność oraz zbiorową wytrwałość. Naśmiewano się wielokrotnie, że spotykane się w tak krótkich odstępach czasu jest czymś absurdalnym. Tymczasem okazało się, że ten właśnie element stanowił jeden z filarów skuteczności: powtarzane regularnie i stosunkowo często obchody wytworzyły efekt trwałości powołującej je wspólnoty, który skutecznie zastąpił tak niepewny (wie coś o tym KOD) efekt liczebności manifestacji.

O ile skuteczność jednorazowej demonstracji zależy od liczby uczestników, o tyle miesięcznice dowiodły, że powtarzalność i wytrwałość skutecznie zastępuje ten ryzykowny element. Ponieważ reprezen-

tanci określonej wspólnoty spotykają się zawsze w tym samym miejscu o oznaczonym czasie, powstaje i stopniowo umacnia się silne przekonanie, że ta wspólnota realnie istnieje. A przekonanie o istnieniu wspólnoty to podstawowy warunek ewentualnej do niej przynależności.

Wspólnota miesięcznic ustanowiła więc wyobrażenie o własnej trwałości, które zaowocowało po pięciu latach masowymi deklaracjami przynależności, składanymi przy urnach wyborczych. Powtarzam: oczywiście nie był to czynnik jedyny, ale w rzeczywistości dotkniętej płynnością, zmiennością (także zmiennością postaw), niekonsekwencją – znaczenie wystawianej co miesiąc wierności własnym przekonaniom okazało się wartością niekwestionowaną i fundamentalną.

Powtarzalność, stałość miejsca i towarzyszące im zachowanie określonego przebiegu działań to elementy właściwe rytuałom. Nie zgadzam się z twierdzeniem, że rytualizacje pojawiające się w obrębie miesięcznic są powiązane z jakąś formą kultu, nie mówiąc już o tak złożonym tworze społeczno-kulturowym jak religia. Z pewnością natomiast w comiesięcznych przedstawieniach pojawia się bardzo wiele elementów łączonych (także podświadomie) z doświadczeniem religijnym lub wprost z rzeczywistością religii pochodzących. Do tych pierwszych należą: rytualizacja działań (czyli ich powtarzalność i zgodność z wytworzonym wzorcem) oraz kult zmarłych, do tych drugich – stała obecność mszy jako części obchodów oraz umieszczony w centrum krzyż.

Jeśli zapomnę o nich

Miesięcznice smoleńskie, co tak często powtarzają ich uczestnicy i rzecznicy, to zgromadzenia powoływane na pamiątkę śmierci 96 osób. Ten argument przywoływany jest tak często, bo jako uzasadnienie miesięcznic wydaje się nie do podważenia. W naszej kulturze nie ma zgody na odmawianie komukolwiek prawa do czczenia zmarłych w sposób, który odczuwa jako właściwy. W nawoływaniu „dajcie już spokój, życie toczy się dalej”, jakkolwiek nie byłoby racjonalne, jest coś bezwzględnie, co wypowiedziane skazuje wypowiadającego na klęskę. Nawet jeśli Kreon ma racjonalne argumenty w dyskusji z Antygona, to w końcu przegrywa i nikt po nim nie płacze...

A uczestnicy miesięcznic zajmują pozycję Antygony – pamiętającej o zmarłych, →

→ mimo że lepiej byłoby dla niej i dla racjonalnej wspólnoty o nich zapomnieć. Jest to oczywiście Antygona bardzo polska, która z pewnością zna i często powtarza przysięgę Jana z „Dziadów” („Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, / Zapomnij o mnie”), łączącą pamięć o zmarłych z obowiązkiem religijnym. Na dodatek przez historię swego użycia przysięga ta została wpisana w pamięć katyńską, z którą pamięć smoleńska jest tak ściśle powiązana. Więzi te wzmacniają wagę podejmowanych działań, funkcjonujących zgodnie z rodzimymi tradycjami jako sakralne zobowiązanie wobec zmarłych (i czuwającego nad nimi Boga), a więc pozostających poza sferą racjonalnej, ludzkiej decyzji.

To przede wszystkim ze względu na to zobowiązanie miesięcznice muszą się odbywać, zaś wszelkie argumenty przeciwko nim uznaje się za bluźniercze. Można uważać, że to chorobliwy objaw koniecznej do przewalczenia „tradycji romantycznej”, ale nie sposób kwestionować jego realności, tak jak nie sposób zanegować faktu, że to kulturowe zakorzenienie w rodzimych i sakralizowanych wzorach działania stanowi jedno ze źródeł mocy miesięcznic.

Źródłem drugim jest ich powiązanie z polskim katolicyzmem, przebiegające zresztą początkowo niemal po tej samej linii zobowiązania wobec zmarłych. Po przysiędze Jana „Amen za was” mówi jednak ksiądz Lwowicz, występujący tu niemal jako figura Kościoła, który staje się depozytariuszem zbiorowej pamięci wspólnotowej. Tak też funkcjonuje on w miesięcznicach, których początek stanowi msza za zmarłych, odprawiana w katedrze św. Jana. Oficjalnie po mszy udział Kościoła się kończy, ale w praktyce pozostaje on obecny jako wspólnota wiernych już choćby przez to, że pod Pałacem Prezydenckim obecny jest krzyż i odmawiane są katolickie modlitwy.

Geniusz mowy niejasnej

Nie tylko przez to. Zabrzmi to ryzykownie, ale miesięcznice smoleńskie są jak liturgia Kościoła anamnezą – wspomnianiem uobecniającym. I tak jak w liturgii wspomina się uobecniając źródłowe akty Chrystusa: Ostatnią Wieczerzę i Mękę, tak w miesięcznicach uobecnia się katastrofę i kwietniowe zgromadzenia żałobników, wspomniane przez wielu jako czas niesłychanej jedności. Pamiętając o ofiarach 10 kwietnia, uobecnia się na nowo tę jed-

**Możesz myśleć, co chcesz
o przyczynach katastrofy,
możesz nawet dopuszczać,
że nie było zamachu,
ale wspólnego śpiewania
hymnu i okrzyku
„tu jest Polska!”
nie wyrzekniesz się tak łatwo.**

ność i powołuje ją jako „Polskę tu”, Polskę prawdziwą i jedyną, której pełne urzeczywistnienie to zadanie i misja gromadzących się na Krakowskim Przedmieściu.

Każda miesięcznica kończy się przemówieniem Jarosława Kaczyńskiego, które ma nieodmiennie charakter *quasi*-messański: jest zapowiedzią nadchodzącego zwycięstwa i tryumfu prawdy. A choć niekwestionowany przywódca zgromadzenia mówi, że ową prawdę wkrótce „poznamy”, to przecież i on sam, i wszyscy zgromadzeni już ją znają („zamordowaliście go” – krzyczał Kaczyński do posłów PO). Czas przyszły odnosi się do nas, którzy jeszcze wątpimy i ku którym z misyjnym wyzwaniem kierowani są uczestnicy miesięcznic, byśmy stali się częścią owego „my” znajdującego prawdę.

Zatem będąc powtarzalnymi rytualizacjami, miesięcznice stanowią również dynamiczne manifestacje misji politycznej, wypływającej z dwóch źródeł o wielkiej mocy: zobowiązania wobec zmarłych i odnowienia wspólnoty. W tym kontekście ważnym elementem jest przemarsz łączący dwa punkty rytualizacji: katedrę i plac przed Pałacem Prezydenckim. Ma on kształt i charakter demonstracji politycznej o znamionach protestu. Nieodmiennie i niezależnie od kontekstu politycznego, na centralną ulicę stolicy kraju wychodzi grupa domagająca się uznania swoich praw i realizacji swoich celów. Wychodzi tak samo za rządów PO, gdy faktycznie wydawała się tracącą znaczenie garstką „oszołomów”, jak i za rządów PiS, gdy tworzą ją ludzie sprawujący władzę w kraju.

Tu jak nigdzie widać siłę performancji i genialność jego konstrukcji: racjonalnie rzecz biorąc po dwóch i pół roku od zwycięstwa miesięcznice jako marsze pro-

testacyjne nie powinny mieć racji bytu, bo stanowią protest przeciwko władzy, którą uczestnicy obdarowali ich protagonistów. Ale tu właśnie działa mechanizm, którego nie doceniają krytycy miesięcznic i rządów PiS: protest ludzi władzy przeciwko władzy da się wszak wyjaśnić tylko w jeden sposób – jeszcze nie sprawują jej całej. Są jeszcze jakieś ukryte, ciemne siły, które wbrew woli większości wyrażonej w wyborach ograniczają władzę z nich pochodzącą. To te siły blokują demokrację, w obronie której idzie także comiesięczny marsz.

To, co na pierwszy rzut oka nieracjonalne, okazuje się w kontekście narracji posmoleńskiej i pisowskiej absolutnie logiczne, bo wszak te same ciemne siły są według uczestników miesięcznic odpowiedzialne za śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jego brat o nich właśnie nieustannie mówi, a geniusz jego mowy niejasnej polega na tym, że sił tych nie nazywa, a jedynie na nie wskazuje. Uczestnicy mają dzięki temu swobodę w nadawaniu im własnych imion (Putin, Tusk, Żydzi, komuna – co tam komu w ciemnościach się jawi). A to, że nawet minister Macierewicz musi przeciwko ich władzy protestować, jedynie potwierdza, że siły te straszne są, a moc ich ogromna. Ogromna i niemal cudowna, bo jednocześnie mobilizuje do walki („śmierć wrogom ojczyzny!”) i zwalnia od odpowiedzialności – każdą klęskę wyjaśnia się wszak działaniem tajemniczego spisku.

Ten spisek, którego kulminacją był wyznawany co miesiąc zamach, dowodzi jeszcze jednego: wyjątkowego znaczenia i misji narodu polskiego. W świecie smoleńskiej pamięci nie ma miejsca na to, co w doświadczeniu 10 kwietnia 2010 najbardziej przerażające. Wykluczona jest z niej przypadkowość katastrofy jako rezultatu serii zaniedbań, przeoczeń i zbiegów okoliczności. Jej miejsce musi zająć zamach, potwierdzający wagę Polski jako kraju stanowiącego szczególny przedmiot ataku i obrony, wielkie pole nieustającej bitwy decydującej o losach świata.

Wieczny Grunwald. Wieczny Wiedeń. Wieczny Cud nad Wisłą. I wieczny Katyń, którego Smoleńsk jest kolejnym awatarem. To właśnie „tu jest Polska” – między wojną a wojną, między śmiercią a śmiercią. Między czczonymi zmarłymi a przyszłymi bohaterami. Wzniosła, poetycka, zdradzona o świecie, skrwawiona, zapłakana. Śmiertelnie, powtarzam: śmiertel-

nie poważna. Polska – Matka Bolesna pod drewnianym krzyżem.

To już jest koniec?

Miesięcznice nie tylko stanowią połączenie najsilniejszych gatunków przedstawień zbiorowych: rytuału i protestacji, ale są też syntezą filarów tradycji narodowej (kult przodków, rytualny katolicyzm, mesjanizm) z plotką i teoriami spiskowymi. Każdy z tych elementów dany jest przy tym do bezpośredniego przeżycia, ucieleśniany, performowany, co oczywiście zwiększa siłę jego oddziaływania, ponieważ rytuał, protest, pamięć, misja i walka z ukrytym wrogiem stają się doświadczeniem własnym, na dodatek potęgowanym przez zbiorowe przeżywanie.

Możesz myśleć, co chcesz, o przyczynach katastrofy, możesz nawet dopuszczać, że nie było zamachu, ale wspólnego śpiewania hymnu i okrzyku „tu jest Polska!” nie wyrzekniesz się tak łatwo. A to one łączą cię ze wspólnotą i pamięcią nieobecnej na co dzień jedności, dającej poczucie ponadjednostkowego sensu własnego życia.

Miesięcznice dodają do tego wszystkiego rodzaj ekstazy, rozkosz wyjścia z siebie, uniesienia, których dawno już nie ma w innych poważnych przedstawieniach,

jakich doświadczamy (zagospodarowały je kultura popularna i sport). Łącząc to wszystko, miesięcznice są prawdziwym arcydziełem performance’u politycznego, o tyle niedoświadczonym, że zrodzonym z niekwestionowanego doświadczenia utraty, ufundowanym na przewalczeniu bólu, rozpacz i gniewu.

Tym bardziej zasadne staje się pytanie: dlaczego Jarosław Kaczyński postanowił je zakończyć? Wcześniej jednak mówił, że miesięcznice będą trwać aż do całkowitego zwycięstwa. Czyżby miało ono nastąpić już na początku kwietnia? Czyżby odsłonięcie pomnika sekretnie budowanego na placu Piłsudskiego miało być jego znakiem? Odsłoni się pomnik i powie wspólnocie, że to znak jej tryumfu?

W logice miesięcznic to absurdalne. Owszem: pomnik był postulatem ważnym, ale pretekstowym. Jego wzniesienie nigdy nie stanowiło celu samo w sobie, lecz miało być znakiem zwycięstwa odniesionego w innych obszarach. To zwycięstwo zostało przez 96 miesięcy ustanowione jako totalne, odniesione nad wszystkimi uznawanymi za sprawców katastrofy. Tymczasem nic nie wskazuje na to, by do

10 kwietnia 2018 r. udało się choćby postawić przed sądem Donalda Tuska, a co dopiero mówić o Putinie i innych „wrogach ojczyzny”.

Być może decyzja Jarosława Kaczyńskiego to kolejny dowód jego wielkiego talentu w dziedzinie politycznego performance’u. Miesięcznice smoleńskie z honorową asystą kompanii reprezentacyjnej, otoczone kordonami policji i kosztujące miliony złotych, mogą się za chwilę zamienić w państwowe akademie, tracąc swój paraliturgiczny i jednocześnie buntowniczy charakter. Zanim to się stanie, ich twórca i protagonista przenosi je w legendę.

Ale wytworzona przez nie wyobrażeniowo-emocjonalna wspólnota będzie trwać i nawiedzać polskie życie zbiorowe przez kolejne lata. Dokonało się.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

*Przed Pałacem Prezydenckim,
Warszawa, 13 kwietnia 2010 r.*

